

Pobyt w Buenos Aires zaczął się od zniknięcia Elsie B., co powinno być dla mnie ostrzeżeniem. Poznaliśmy się w Nowym Jorku przez znajomą, która wcześniej odwiedziła Argentynę, bardzo sobie tę egzotyczną wizytę chwalać. Z urody Elsie przypominała kuzynkę Mirkę, korpulentną blondynkę o gładkiej cerze i miękkim głosie; kiedyś była dla mnie jak zastępcza matka. Wyglądało na to, że polubiliśmy się z Elsie od pierwszego wejrzenia. Jej zachowanie zaraz po powrocie do Argentyny utwierdzało mnie w tym przekonaniu. Pomogła mi wynająć mieszkanie w Buenos Aires, za co byłem jej bardzo wdzięczny, bo nie lubię zatrzymywać się w hotelach.

Ku mojemu zdumieniu, kiedy zadzwoniłem do niej po przyjeździe, przyjęła mnie chłodno. Oświadczyła, że jest bardzo zajęta, wprawdzie chce się ze mną spotkać, ale może lepiej, żebyśmy odłożyli to do przyszłego tygodnia. Wyczułem, że spotkać się ze mną nie miała większej ochoty, ale nie miałem pojęcia dlaczego. Zostawiłem swój numer telefonu, instynktownie nie spodziewając się wiele. Ani ona, ani ja nie zadzwoniliśmy więcej do siebie. Zagadka, dlaczego nagle urwała naszą znajomość, nigdy nie została do końca rozwiązana. Podobno w tym czasie mąż zostawił ją dla młodej pielęgniarki.

Cień Elsie towarzyszył mi jednak podczas całego pobytu w Buenos Aires. Znalezione przez nią „ciche mieszkanie” okazało się znajdować w sąsiedztwie nie jednej budowy, ale kilku naraz, więc wielokrotniony hałas z zewnątrz zrywał mnie o świcie i nie ustawał do wieczora. Wytrzymałem tydzień, poczym przeprowadziłem się do innego mieszkania, mniej słonecznego, ale zdecydowanie cichszego.

Hałas z budowy zastąpił dźwięk samolotów przylatujących na krajowe lotnisko mieszczące się w centrum miasta i odlatujących z niego.

Przed moim przyjazdem Elsie załatwiła mi wykład w Museo Nacional de Bellas Artes. Z korespondencji z nią wynikało, że muzeum z niecierpliwością mnie oczekuje, chcąc dopiąć ostatnie szczegóły. Kiedy jednak zadzwoniłem do nich już z Buenos Aires, nic w tej sprawie nie było ustalone. O wykładzie, owszem, wiedziano, wyznaczono mi więc spotkanie, żeby o nim porozmawiać. Ponieważ dyrektor muzeum okazał się człowiekiem bardzo zajęтым, zaproponowano, abym najpierw zobaczył się z jego sekretarką.

Kilka dni później siedziałem w gabinecie sekretarki. (Był to ten dzień, kiedy Brazylijczycy hucznie świętowali sromotną porażkę Argentyny na Mundialu). Kobieta, która mnie przyjęła, wywarła na mnie wrażenie osoby mocno przestraszonej. Duża, barczysta, koło czterdziestki – nic nie było w niej szczególnego, a przecież wyglądem nie przypominała żadnej ze znanych mi kobiet. Rezydowała w urzędzonym po spartańsku biurze. Najlepiej zapamiętałem krzesło, na którym usiadłem. Wyglądało, jakby za chwilę miało się rozlecieć; jeden nieodpowiedni ruch i wyładowałbym na podłodze. Odniosłem wrażenie, że meble nie miały tam użytkowego przeznaczenia, ich rolą było psychiczne destabilizowanie zachowania. Przestraszona Sekretarka poinformowała mnie z za bezpiecznego biurka, że wykład oczywiście może się odbyć, sugerując jednak: im później, tym lepiej. Zaniepokoiło mnie to lekko, bo ja z kolei chciałem, aby odbył się jak najwcześniej. Nasze scenariusze co

do jego terminu nie tylko nie nakładały się na siebie, ale – co dzisiaj dobrze rozumiem – nawet do siebie nie przystawały.

Przestraszona Sekretarka oświadczyła, że wprawdzie wykład mógłby się odbyć za parę tygodni, ale jest problem z tłumaczem. „Kto ma za niego zapłacić?” – zapytała. Kiedy to usłyszałem, zeszytniałem. Poczułem się jak petent, którego chce się pozbyć, ale nie mówi mu tego wprost. Więc na nic moje pełne osiągnięcie curriculum vitae?! Ktoś za wszelką cenę próbuje przyprawić mi gębę! Nic dziwnego, że twarz, a raczej już gęba, zaczęła mi sztywnieć ze złości. Poczułem, że zaczynam tracić *formę*. Na bezsilność ciała obnażanego z dumy nałożyła się obawa, że odbierane mi jest moje *nazwisko*. Nagle stałem się znowu tamtym chłopcem, który czerwienił się z byle powodu.

W poczuciu jakiegoś niesprecyzowanego zagrożenia, stanowczym, ale chyba lekko historycznym głosem oświadczyłem, że skoro muzeum nie jest zainteresowane moim wykładem, powinno to zostać powiedziane wprost. Słyszając te słowa, Przestraszona Sekretarka również poczerwieniła, jakbym przyłapał ją na kłamstwie. Wyraz strachu na jej twarzy wyraźnie się nasilił. Jak później zrozumiałem, nie był to strach przede mną, ale przed Dyrektorem, bo musiała zdać sprawozdanie z naszej rozmowy, poinformować go, że nic nie zostało ustalone. Ja byłem dla niej obcym, który nie miał wpływu na jej życie. Wielu takich przewija się przez portowe miasta, przez ich muzea – zbyt wielu, żeby poświęcać im większą uwagę. On był natomiast konkretnym strachem przed niewiadomą przyszłością. Nie mogła sobie pozwolić

na utratę pracy. Ponieważ pertraktacje ugrzęzły w martwym punkcie, zgodziliśmy się, że nie może się obejść bez rozmowy z Dyrektorem.

Podobno prawdziwe tango może tańczyć tylko dwóch mężczyzn. W muzeum w Buenos Aires tak jest na pewno. Zapracowany Dyrektor przyjął mnie tydzień później. W drzwiach gabinetu rozminąłem się z artystą, który został mi w biegu przedstawiony jako jeden z najwybitniejszych malarzy argentyńskich. On także, nie wiedząc czemu, wyglądał na lekko przerażonego. Może dlatego, że już stał się „bezfornym” – zaczął zabiegać o wystawę w muzeum. *Poza formą, poza formą... Forma nie zbawi świata* – mruzczał do siebie.

Zapracowany Dyrektor okazał się przystojnym sześćdziesięcioletkiem, ubranym w nienagannie skrojony granatowy garnitur, błękitną koszulę i granatowy krawat z delikatnym rzucikiem w żółte słonie. Z wykształcenia był architektem. Po angielsku mówił z oksfordzkim akcentem, którego nie powstydziliby się żaden Anglik; mój akcent brzmiał przy nim bardzo... germańsko. Pomimo zapracowanej miny, wydawał mi się uduchowiony.

Po przywitaniu szybko przeszedł do rzeczy: „Panie Profesorze (tak zwrócił się do mnie, a ja czułem, że „profesorze” wymówił dużą literą, ale ironicznie), czy Szanowny Pan zdaje sobie sprawę, ile osób chciałoby mieć wykład w naszym muzeum? Robimy, co możemy, ale Pan Profesor z pewnością dobrze rozumie, że nasz kalendarz wypełnia się bardzo szybko, bo przecież jesteśmy Muzeum Narodowym”. Tym razem nie zaniemówiłem z wrażenia, przygotowany na kolejną niemiłą niespodziankę rozmową z Prze-

straszoną Sekretarką i, co ważniejsze, „uprzedzony” przez Gombrowicza, którego *Dziennik* argentyński profilaktycznie przestudiowałem poprzedniego wieczoru, traktując go jako praktyczny poradnik zachowania. Gombrowicz przecież świetnie rozgryzł pasywno-agresywną naturę Argentyńczyków.

Wiedziałem, że muszę natychmiast zripostować, jak szermierz, który widzi przed sobą napierającego przeciwnika, zanim poczuje szpadę na ciele. Tylko jak tu walczyć z widmem? „Szanowny Panie Dyrektorze – wszedłem w słowo mojemu rozmówcy – bardzo dziękuję, że znalazł Pan czas, żeby mnie przyjąć. Zdaję sobie sprawę, że jest Pan człowiekiem zajęтым, kierując tak poważną instytucją kulturalną, o szalenie napiętym programie artystycznym. Słyszałem o Panu dużo w Nowym Jorku od architekta C.P. Pomimo że na wakacjach, ja również jestem człowiekiem zajęтым, więc nie potrzebujemy tracić czasu na zbyt długie rozmowy. Powiem wprost. Jeżeli nie jest Pan zdecydowany na mój wykład, to proszę mi powiedzieć, bo inne muzea w tym mieście już wyraziły zainteresowanie nim”. Mówiąc to (również ironicznie), zacząłem przekonywać siebie, że nasza rozmowa jest przecież formą tanga, a więc zamiast patrzeć prosto w oczy partnera, należy uważnie śledzić rytm wybijany przez niego stopami. Tańczmy *La Cumparsitę* na naszej scenie. Raz, dwa, trzy-cztery; raz, dwa, trzy-cztery. Liczą się długie, posuwiste kroki i wyszukane pozy...

Nie jestem pewien, które z moich słów najbardziej podziałały na Zapracowanego Dyrektora, ale coś w nich musiało go zastanowić. Może wyczuł moją determinację nieśmiałego dziecka, i ona mu o czymś

przypomniała? W myślach szybko wdrapałem mu się na kolana. Wtedy *poczuł* niewidoczną dłoń na udzie. Dotknąłem go oczywiście delikatnie, idyllicznie, a jednocześnie stanowczo i konkretnie – jak pióropusz przy nakryciu głowy Holofernesa muska łydkę Dawida w słynnej rzeźbie Donatella na cokole we florenckim Muzeum Bargello. Został jednak zaatakowany poniżej pasa, bo przecież nie miał przed sobą dziecka. Nie spodziewał się takiego bezczelnego ruchu z mojej strony, więc zawrzała w nim krew. Zamiast jednak dalej atakować, zmienił strategię. Ale może się mylę, może od samego początku chodziło mu o coś innego: naprzeć słownie na przeciwnika i popatrzeć, co z tego będzie. Jeżeli oponent się przestraszy, jeżeli zacznie sztywnieć, nie ma co zawracać sobie głowy; jeżeli czymś go zadziwi, można jeszcze z nim ponegocjować. Jako Dyrektor doskonale zdawał sobie sprawę, że w muzeum musi się coś dziać, a kalendarz wcale nie jest aż tak wypełniony.

„Ależ nie, Panie Profesorze – odpowiedział nader uprzejmie, wręcz ciepło – my ciągle zainteresowani jesteśmy Pana wykładem, tylko, widzi Pan, są kłopoty z kalendarzem, no i nie mamy właściwie pieniędzy na tłumacza. Rozumie Pan, duże muzeum, duże wydatki”. Pokiwałem głową z udawanym zrozumieniem, ale nie dawałem za wygraną: „Nigdy jeszcze mi się nie zdarzyło, żebym musiał płacić za tłumaczenie mojego wykładu. To nie do pomyślenia!”. Poczzerwieniałem, on nie poczerwieniał. Pod naporem moich bardziej lub mniej przekonujących argumentów Zapracowany Dyrektor zaczął mięknąć, szczerze albo nie: „Ależ my nie żądamy, żeby Szanowny Pan za cokolwiek płacił”. Po krótkiej, teatralnej prze-

rwie kontynuował: „Niech Pan pozwoli, że poproszę sekretarkę. Może ona będzie w stanie coś zrobić dla nas w tej sprawie”.

Wróciła Przestraszona Sekretarka. Rozmowa z nią odbyła się po hiszpańsku, ale zrozumiałem jej sedno. Zapracowany Dyrektor przypomniał sobie o niedrogim tłumaczu, na którego opłacenie ewentualnie znalazłyby się fundusze i poprosił Przestraszoną Sekretarkę, żeby się z nim skontaktowała. Ona przytaknęła z ulgą, nie zmieniając przestraszonego wyrazu twarzy. Pewnie była już w podobnych sytuacjach wiele razy, wiedziała więc, co ma robić dalej. Sprawnie wykonała niezbędne posunięcia i wszystko zostało załatwione w przeciągu dziesięciu minut, podczas gdy ja rozmawiałem o niczym z Zapracowanym Dyrektorem. Taniec dobiegł końca, więc uśmiechaliśmy się do siebie serdecznie... Po czym wydorosłałem w mgnieniu oka.

Uśmiech zadowolenia z siebie. W sumie obaj zachowaliśmy twarz albo, co ważniejsze, tak nam się wydawało, nie przewróciliśmy się w tańcu. Dalsza część spotkania była już formalnością. Chodziło jedynie o to, aby doprowadzić naszą rozmowę do końca, tak jakby problem nigdy nie istniał. Już za dwa tygodnie muzeum dysponowało wolnym czasem w czwartek o siódmej wieczorem, a nie w piątek o piątej. Audytorium wyposażone było w niezbędny sprzęt do pokazywania slajdów i zagwarantowano symultaniczne tłumaczenie. Moje obawy o brak czasu na ściągnięcie publiczności zostały skomentowane zapewnieniem, że spotkanie zostanie „właściwie rozreklamowane”. Zapracowanego Dyrektora już więcej nie widziałem, bo nie

pojawił się na wykładzie, który pewnie zupełnie go nie interesował, a może uznał, że w tej grze nie należało robić dodatkowego ruchu po *finale*. Ulotnił się, jak zwyczajny duch.

Prelekcja okazała się udana. Przyszło około setki osób, co jak na zdarzenie zapowiedziane w ostatniej chwili było sporym osiągnięciem. Co ważniejsze, widownia wysłuchała wykładu z uwagą. Mówiłem o tym, co dzieje się w dzisiejszym malarstwie, zastrzegając, że moja perspektywa jest zawężona, bo wyłącznie nowojorska. Była to oczywiście lekka kokieteria, bowiem Nowy Jork wciąż decyduje o tym, co w sztuce się liczy, szczególnie jeżeli chodzi o rynek wystawienniczy, a to z perspektywy miejsc borykających się z poważnymi problemami ekonomicznymi, takich jak Argentyna, ma ogromne znaczenie. Przeprosiłem, że nie włączyłem do mojej prezentacji żadnych malarzy argentyńskich, nie znałem jednak ich twórczości na tyle, żeby wypowiadać się na ten temat kompetentnie. Malarstwo przedstawiłem jako palimpsest, a w tym przypadku wielowarstwowe płótno, które zamalowywane jest na nowo przez kolejnych artystów; co zostało raz namalowane, nigdy nie znika, jedynie przybywa mu warstw. W tym kontekście sztuka może być pojmowana jako stawanie się bez końca.

Tak jak kiedyś, kolejni artyści siadają każdego dnia przed sztalugami i malują „od zera” na białym płótnie, które jest już *zamalowane*. Nawet jeżeli malarstwo straciło swój dawny aspekt heroiczny, który sprawiał, że uważano je za wizualizację duszy kultury zachodniej, ciągle powiązane jest z życiem, tyle tylko że bardziej z naszą cielesnością niż z *ge-*

*nium loci*. Siła malarstwa tkwi w tym, że choć historia sztuki czyni z niego ciągłość, nie mam potrzeby łączyć go w całość. Może więc mimo wszystko pamiętliwy Funes z opowiadania *Funes, El Memorioso*, fikcyjny gramatyk obdarzony absolutną pamięcią, a nie Borges, który go wymyślił, miał rację: myśleć o malarstwie nie znaczy „zapomnieć różnice, uogólniać, abstrahować”, ale zapamiętywać obrazy, przyglądać się im z uwagą, jednemu po drugim, bez ustalania sztywnych hierarchii, bez wstawiania z łóżka. Ale czy należy oddzielać Borgesa od Funesa? Historia sztuki nie jest sumą wybranych punktów na kręgu, ale jego zataczaniem.

Ten wykład jest moim komiwojażerowaniem z wiedzą o sztuce. Budowaniem przenośnej ściany, namiotu, chwilowego dachu nad głową, bez konieczności zaludniania go żywymi istotami. Zmienia się ciągle, gdy wygłaszam go w muzeach w różnych krajach, trochę wymykając się spod kontroli. Często coś w nim niepotrzebnie ubarwiam, wierząc w to, że ważniejsza od solidnej wiedzy jest siła poetyckiej perswazji. Przez to staje się wyrazem mojej admiracji dla potęgi sztuki – sztuki jako formy abstrakcyjnego uchwycenia wolności, bez potrzeby zagłębiania się w politykę. Sztuka nie może być wiedzą. To miłość bez wzajemności, z którą można żyć w dowolnym miejscu.

„Argentyńczycy słyną z wyniosłości” – przestrzegaj mnie Simon K. z Buenos Aires. „Naród ten podsztyty jest neurozą człowieka, któremu wydaje się, że żyje w niewłaściwym miejscu, nie potrafił się do niego przystosować, choć uświadamia sobie jego niezwyczajność. Buenos Aires to raj dla psychoterapeutów

grzebiących w ludzkich myślach”. Poznani *porteños* potwierdzili opinię Simona. Mnie też zirytowali swoją arogancją, znerwicowaniem zbyt swobodnie okazywanym na co dzień. Nie polubiłem ich szczególnie teatralności, ich wymyślonej, wyimaginowanej „europejskości”.

Zachowanie Argentyńczyków nie przystaje do otaczającego ich miejsca. Może wyraża ono niemożność pełnego zjednania się człowieka ze wspianą przyrodą? Argentyna jest przecież krajem pięknym, o bajecznych krajobrazach. Śnieżno-niebieskie lodowce i gigantyczne wodospady, nad którymi wiszą girlandy tęcz; obok rozległe pampy napakowane trawą jak miękkie poduchy i wystające z nich urwiste góry. Bogactwem tego kraju są także połacie niezwykle żyznej ziemi, łagodnie pofałdowane, szczodre, a jednocześnie zbyt rozległe, żeby je w pełni ogarnąć wzrokiem, poczuć ich przyjazną bliskość. Przy nich ciasne Buenos Aires wydaje się pochodzić z innej bajki. Gwarne miasto na miarę wyobraźni i ambicji ludzi zagubionych. Zbudowali drugi Paryż, mniej spektakularny jeżeli chodzi o architekturę, ale nie o życie ulicy. A raczej spektakularny, ale tylko wtedy, kiedy nie zna się, albo nie lubi, *prawdziwej* stolicy Francji. Nic nie zastąpi piękna architektury Paryża. Dla mnie Buenos Aires przypomina Warszawę. Miasto duchów, którego strzegą *Alef* i *Bakakaj*. W takim nie-miejscu o palmę pierwszeństwa w tym, kto powinien być tu uznany za największego pisarza, konkurują ze sobą genialny ślepiec i niespokojny Polak.

Nie pamiętam nazwiska angielskiej dziennikarki, której książkę znalazłem w małym mieszkaniu w Buenos Aires. *Buenos Aires mi dojadło* (*Buenos*

*Aires me mata*) to opowieść o ciągłym zmaganiu się z pokręconą rzeczywistością argentyńską, z niemożliwością normalnego kontaktu z Argentyńczykami podczas jej paroletniego tam pobytu. Kiedy wymęczona trudnościami codziennego życia w tym miejscu autorka opuszczała je, żegnając się z przyjaciółmi, Sebastiano powiedział: „Zostań. Przecież jesteś do nas taka podobna”. Niezaskoczona tym stwierdzeniem, popatrzyła mu prosto w oczy i odpowiedziała z uśmiechem: „To właśnie dlatego muszę stąd wyjechać”.